

Moi antenaci po mieczu i kądzieli.

W pomrokach dziejów giną zaczątki utworzenia kilku gałęzi Żebaków we wsi: Matusków (przydomek „Matusek” wywodzi się pewnie od jakiegoś przodka o imieniu Mateus, jak to wołano na Mateusza); Bazelików (pewnie znaczącym przodkiem był Bazyli) i Bazelicków (pewnie od jakiegoś potomka Bazelika). Od zawsze były to zacne rody bogatych gospodarzy. Oni decydowali o obliczu wsi, a jak było trzeba to potrafili się przeciwstawić panom Tczyckim, właścicielom znaczącego kiedyś majątku ziemskiego. Matka pochodziła z gałęzi Żebaków zwanych Matuskami i mój dziadek po kądzieli był gospodarzem pełną gębą, z dziada pradziada.

Ojciec należał do najmłodszego odłamu Żebaków – Lokajcyków, przydomek ten dopiero się stawał. Źródłosłów jest jednoznaczny. Pierwszymi jego nosicielami stali się nowi gospodarze na kolonii „w łąkach”, dwaj bracia Stach (stryj) i Henryk – mój ojciec, synowie dziadka Andrzeja – lokaja panów Tczyckich. Przydomek „Lokajcyk” nie utrwał się i nie przetrwał dłużej niż jedno pokolenie; wkrótce znikły też przydomki Bazelików i Bazelicków, znikają Matuski.

Fama głosi, że ojciec mojego dziadka po mieczu, a mój pradziadek, przynależny do jakiejś tam gałęzi Żebaków, przehulał swoją część fortuny w towarzystwie ojca Ostatniego Pana Tczyckiego (ujawnia się jednoznaczna

zapowiedź losu tego zacnego rodu). Pradziadek nie zajmował się szczególnie dolą swej żony i jedyne go syna Andrzeja, którym zapewnił przecież godne życie w majątku swego przyjaciela właściciela Tczycy i okolic. Pan Tczycki (ten Przedostatni), zajęty korzystaniem z uroków życia jakie zapewniała mu jeszcze fortuna, pozostawił żonę wraz z synem (przyszłym Ostatnim Panem Tczyckim) w majątku w towarzystwie mojej prababki. Posiadanie tylko jednego potomka było w tych czasach uznawane za grzech wobec przykazań boskich i ludzkich. Myślę, że jedynie brak czasu nie pozwalał obu, dziedzicowi i mojemu pradziadowi, na rozwój ilościowy legalnego potomstwa.

Pradziadek w czasie swych peregrynacji odkrył majątek innej gałęzi przodków na terenie Bohemii, wspomnianą już miejscowość – Żebrak. Tam też spędzał wiele międzyczasów pomiędzy wypadami z Przedostatnim Panem Tczyckim do Wiednia i Budy i być może tam złożono jego prochy na wieczny spoczynek.

W wyniku tych uporczywych działań mających na celu trawienie resztek majątku pradziadek Andrzej pozostawił mego dziadka Andrzeja bez zasobów niezbędnych dla zacnego życia. Dziadek przyjął się za pomocnika doktora, od którego posiadał podstawy wiedzy o leczeniu złamań kości, a i opatrywaniu ran ciętych i kłutych. Nie byli na żadnej wojnie, te toczyły się daleko, ale prawie każda niedziela przysparzała doktorowi roboty po weselnych rozprawach

chłopskich przy pomocy kłonic i sztchet. Doktor wkrótce zmarł i dziadek powrócił do tczyckiego majątku.

Przedostatni Pan Tczycki powrócił wnet w rodzinne pielesze. Trudy życia dały mu się we znaki, chorował na paraliż nóg, który potem przeszedł i na rękę. Dziadek został jego służącym, a jako posiadający obycie z chorobami, pielęgniarzem i opiekunem w czasie podróży do szwajcarskich kurortów. A i pisarzem, gdy paraliż palców uniemożliwił władanie piórem, a potem lektorem Pisma Świętego, gdy Pan podjął próbę odkupienia grzechów życia.

Doświadczenia zdobyte u doktora przydały się dziadkowi w przyszłości. Przychodzili do niego z całej okolicy po pomoc z różnymi złamaniami kości i zwichnięciami stawów.

Wkładał te kości w drewniane łupki i nastawiał zwichnięte stawy. Starąłem się być przy tym doktorowaniu, bo dziadek dziwne gimnastyki robił z chorymi. Pamiętam młodego chłopca, któremu krowa w ucieczce przed gzem szarpnęła łańcuchem rękę i zwichnęła bark. Po badaniu dziadek wysłał żonę pacjenta do karczmy po ćwiartkę wódki. Kobieta myślała pewnie, że dziadek musi sobie wypić przed nastawianiem ręki. – „Zwichnięcie jest stare, przedwczorajsze i spuchnięte. My z doktorem kazywali takiemu pacjentowi wypić wódki, żeby mniej bolało” – wyjaśnił to niezwykle polecenie podkreślając przy tym ważność swej osoby. Uraczył pacjenta ponad połową szklanki wódki, odczekał ze trzy

zdrowaśki i wtedy nakazał mu położyć się na ziemi na wznak, sam usiadł przy jego nogach i wstawił stopę pod pachę zwichniętej ręki, pociągnął ją do siebie, coś chrupnęło, pacjent wrzasnął, a ramię wskoczyło na swoje miejsce. Dziadek przygiął chorą rękę w łokciu i położył na piersi, otrzepał dłonie z jakiegoś pyłu i z nieskrywanym zadowoleniem podsumował całe zdarzenie: – „No to kość jest tam gdzie trzeba. Przymocujemy rękę do piersi. Za tydzień będzie się nadawała do roboty”. Naprawiony pacjent wsiadł na furę i pociągnąwszy resztę z niedopitej flaszki, zaśpiewał jakąś przyśpiewkę.

Do dziadka przynosili też dzieci z różnymi chorobami, najczęściej brzuszными. Zanim pójdą do doktora, bo po co wydawać pieniądze na darmo, gdyby dziecku szło na śmierć. Badanie dzieci dziadek rozpoczynał od polizania czoła. Ta niezwykła metoda potwierdzała w oczach wystraszonych matek znachorską moc dziadka. Dziadek poznał tę metodę u zielarki, kiedy towarzyszył Przedostatniemu Panu Tczyckiemu szukającemu w Szwajcarii u doktorów, a i u znachorów, cudownego uzdrowienia z „paraliżu postępowego”. Tam, oczekując na swego chlebobawcę poddawanego zawinięciom w wywary z ziół, miał okazję obserwować publicznie odbywaną na tarasie domu ordynację znachorki. Znachorka zajmowała się nie tylko skutkami hulaszczej młodości bogatych panów ale leczyła również ludzi z bliższej i dalszej okolicy. Dziadek zauważył, że

znachorka całuje dzieci w czoło. Myślał, że całowanie należy do procedury odprawianych czarów. Była to stara znachorska metoda wykrywania zaczarowanych dzieci. – „To dziecko wkrótce umrze, którego czoło jest słońce!” – dowiedział się od znachorki. Taka selekcja wykazywała komu leczenie i tak nie pomoże. Nie było mi dane dowiedzieć się czy dziadek wykrył w naszej wsi dzieci zaczarowane na śmierć.

Dziadek nigdy nie zajmował się ciężko chorymi. Tych odsyłał do lekarza albo do księdza. W leczeniu stosował zioła, które sam zbierał na miedzach, łąkach i polach, suszył je i gromadził w różnych zawiniątkach. Żałowałem, że nie wykonuje żadnych czarów, ani nie przygotowuje niezwykłych mikstur czarodziejskich z żab i nietoperzy. Kiedyś już się wydawało, że zajmie się prawdziwym czarowaniem, bo kazał mi zbierać dżdżownice i suszyć na słońcu. Wysuszone na pieprz kruszył i wsypywał do butelki. Ucieszyłem się, że wreszcie poznam jakąś czarodziejską miksturę, bo do czego mogą służyć te sproszkowane glizdy. – „To dla ciebie. Zimą dostaniesz ten proszek zamiast tranu, będę ci wsypywać do jedzenia” – przestraszył mnie dziadek. Nie lubiłem tranu, to fakt. Ale jeść sproszkowane glizdy...! Od tej pory piłem tran bez oporów. Tran był przeciw chorobie angielskiej. Od jesieni do wiosny musiałem go wypijać codziennie po łyżce. Proszek z dżdżownic został wymyślony przez Anglików i też był na chorobę angielską, jeszcze zanim wymyślono tran. Dziadek

zalecał ten proszek dla małych dzieci, bo te nie chciały pić tranu, albo po tranie miały biegunkę. Podejrzewam, że wszystkie wnuki dziadka jadły proszek z tych „glizd”; nie mieliśmy choroby angielskiej, jak wtedy mówiono o krzywicy.

Wróćmy do źródłosłowu przydomku Lokajczyk. Ostatni Pan Tczycki poszedł wkrótce w ślady Przedostatniego Pana Tczyckiego. Postanowił przemierzyć szlak przetarty przez ojca swego. Mając przed sobą tak szczytny cel uznał za niezbędne zatrudnienie lokaja, który by go uwolnił od trudów dnia codziennego związanych z obrządzaniem własnej osoby. Wybór padł na dziadka. Dziadek znał dobrze swego pryncypała od dzieciństwa, przecież wychowywali się razem, a wcześniejsza praktyka u Przedostatniego Pana Tczyckiego uczyniła dziadka niezłym fachowcem w tym szczególnym zawodzie.

Dziadek bywał w Wiedniu, Budzie i nawet w Petersburgu, ale miast tych prawie nie widział poza sąsiednimi ulicami ze sklepami, w których kupował dla swego chlebowawcy wina, koniaki, kawę i ciasta oraz coś do zjedzenia dla siebie, bo jego pan prawie nigdy nie spożywał posiłków w domu.

Na podstawie rzadkich wypowiedzi można było sklecić przypuszczalny obraz życia dziadka i jego pana. Dziadek wyznawał zasadę zgodną z wielowiekową tradycją: sługa milczy o sprawach dotyczących swego pana, nie był natomiast wyznawcą poglądu zgodnego z inną wielowiekową tradycją, że służący mówi za wiele.

Ostatni Pan Tczycki czasem przyjmował różne dystyngowane panie, które, o zgrozo, pozostawały do późnej nocy, a bywało i do rana. – „Jak miała przyjść w gości grafini (jakaś tam), to panieś, musiał być likier, a i szampan, i koniak. Czasem trza było brać, panieś, na burg” – ujawniał dziadek gorszące tajemnice dorosłym słuchaczom, sądząc, że dzieci nie słyszą. Przy okazji świąt wspominał: – „Ja i pan Tczycki kupowaliśmy w Widniu taki, panieś, tort Sachera. Tort to jest, panieś, taki pański placek” – wyjaśniał obcą nazwę słodkości. Przerywnik „panieś” był skrótem od „panie święty” i był używany w opowieściach świeckich. Natomiast opowieści zaczerpnięte z Pisma Świętego, którymi budował mój światopogląd, wzmacniane były przerywnikiem: „Panie Święty”. Jestem przekonany, że słowa te wymawiał wielkimi literami. W połączeniu ze słowem biblijnym nie można było podejrzewać złamania przykazania zakazującego wzywani imienia boskiego na daremno.

W końcu Ostatni Pan Tczycki postanowił osiąść na stałe w resztkowych swoich dobrach. Może zmęczyły go szaleństwa fin-de-siecl'u. Jak pokazała przyszłość udało mu się uniknąć wstydlivej choroby z paraliżującymi następstwami. Coraz bardziej męczyło go noszenie własnego ciała, utył znacznie osiągając wagę około trzystu funtów. Wykazując niechęć do jakiegokolwiek wysiłku pozostawał całymi dniami w pozycji półleżącej, a uznając ją za naturalną dla kontaktów z dziewczkami, korzystał z tej dogodności.

Fama głosiła, że dla jednej z ulubionych dziewczek trzeba było szukać męża w trybie pilnym. Wydała się za stangreta, który dziwnym zrządzeniem losu otrzymał od dziedzica za dobrą służbę trzy morgi pola. Małżeństwo tworzyło całkiem przykładne stadło żyjące zgodnie z przykazaniami, dostarczając systematycznie zajęć księdzu przy chrzcielnicy, a ze dwa razy na cmentarzu. Po latach kilkudziesięciu jeden z potomków byłego stangreta osiągnął wagę ciała podobno równą Ostatniemu Panu Tczyckiemu, jak mówili najstarsi we wsi. Był to jeden z dowodów na to, że jak się kobieta w ciąży na kogoś zapatrzy to taki będzie potomek. W przyszłości „zapatwienie się” kobiety nazwano mądrze ekspresją genów, która może ujawnić się po kilkudziesięciu latach zgodnie z indywidualnymi prawami nimi rządzącymi.

Narastające problemy finansowe skłaniały dziedzica do sprzedaży coraz to nowych kawałków ziemi, aż mocą „koła historii” zwanego parcelacją stało się uprawomocnione używanie przed nazwiskiem Tczycki, dodatku – Ostatni Pan. Wtedy dziedzic – Ostatni Pan Tczycki – odprawił dziadka ze służby przyznając mu dożywotnie prawo zamieszkania w czworakach. Dziadek żonaty od przedostatniego dziesiątka XIX wieku, w przerwach między peregrynacjami po ck. Austrii, starał się nadrobić grzech zaniechania swego ojca a mego pradziada i spłodził dziewięcioro dzieci, z których przy życiu pozostało ośmioro.

Z wieloletniej wysługi u obu panów Tczyckich dziadek zaoszczędził nieco grosza w imperiałach, prawdziwych złotych pieniądzech rosyjskich. Jeszcze przed wojną próbował kupić kawałek pola od pana i zająć się uprawą ziemi. Ostatni Pan Tczycki odmawiał z uporem godnym wyższej sprawy. – „Mogę sprzedać pole wszystkim, nawet Żydowi, ale nie lokajowi” – oświadczył dziadkowi.

Wobec takiego stanowiska pana dziedzica, dziadek odłożył zakup ziemi do lepszych czasów. I po wielkiej wojnie wymyślił szatański pomysł wyprowadzenia dziedzica w pole. Miał przyjaciela, jeszcze z czasów młodości, kiedy to poskładał mu rękę przetrąconą w jakiejś bójce weselnej. Ów przyjaciel dopiero co powrócił z wojny, był człowiekiem samotnym, utrzymywał się z grania na weselach, mieszkał kątem u zamężnej siostry gospodarzącej na kawałku ziemi. Ustalili, że przyjaciel za powierzone pieniądze kupi od dziedzica trzy morgi pola, które potem przekaże dziadkowi. Zanim doszło do ukończenia tej misternie zawiązanej intrygi wyprowadzenia w pole pana dziedzica, przyjaciel dziadka znikł na dwa lata. Podobno był na wojnie bolszewickiej, która właśnie wybuchła. Wrócił schorowany i wkrótce mu się zmarło. Dziwnym zbiegiem okoliczności gospodarka siostry przyjaciela powiększyła się o trzy morgi zakupione z folwarku na Ciołkowcu. Dziadek nigdy nie wspominał o tej transakcji swego życia, bo i chwalić się nie było czym. W rodzinie mówiło się o

niej półśłówkami i ze strzępków tych opowieści udało się po latach odtworzyć tę bliską prawdy historię.

Dziadek był szczupłym i raczej niskim mężczyzną z sumiastym wąsem i dość bujnymi jasnymi włosami czesanymi z przedziałkiem pośrodku głowy. W najwcześniejszej pamięci, czyli prawie dwadzieścia lat po tej transakcji stulecia, zanotowałem obraz dziadka ubranego odświętnie, w tużurku sięgającym nieco ponad kolana, sztuczkowych spodniach i czarnych kamaszkach pokrytych białymi getrami. Wytworność ubioru podkreślał melonik. Szczupłą szyję dziadka obejmował jak chomątem wykrochmalony i wyprasowany do wyblyszczzenia biały kołnierzyk. Węzeł krawatu leżącego na usztywnionym „od ludzi” gorsie zdobiła spinka rozpięta między skrzydełkami kołnierzyka. Usztywnione krochmalem mankiety, ozdobione tombakowymi spinkami, wystawały do połowy spod rękawów tużurka. Te nieskazitelnie białe części wymienne przypinało się guzikami do lnianej koszuli.

Zapewne w takim ubiorze próbował dziadek negocjować zakup ziemi z Ostatnim Panem Tczyckim. Tak ubierał się do kościoła jeszcze przez wiele lat, prawie do drugiej wojny. Odbijał wyraźnie od otoczenia włościańskiego, żeby nie użyć określenia, od pospólstwa.

Szkoda, że dziadkowi nie powiódł się zamiar zostania chłopem. Oczami wyobraźni widziałem go jak w odświętnym ubraniu chodzi za pługiem lub macha kosą.



Fotografia rodzinna „Łokajczyków z Łąk”. Wszyscy ubrani jak na odpust w parafii. Od lewej: Ciotka Józka (z Matusków), Ojciec Henryk, Dziadek Andrzej (niespełniony rolnik), Stryj Stach, Kuzynka Janka, Siostra Honorata (krakowianka), moja

*Matka Aniela, Autor (w wieku 3 lat – i co z niego wyrosło?), Babka Maria, kuzyn Renek,
Stryjenka Stachowa, kuzyn Zdzisiek, kuzynka Tadeusza*

(piesek to rekwizyt fotografa)

Żydzi

W końcu lat trzydziestych, bo tam sięga moja pamięć, głównymi nabywcami krów i cieląt byli Żydzi. Nie utkwіło mi w pamięci czy skupywali również świnie. Odbiorcą naszego bydła był Josek z Żarnowca. Josek miał pewnie jakieś nazwisko, ale któż zawracałby sobie głowę nazwiskiem Żyda. Josek pilnie strzegł swego terenu skupu żywca, zjawiał się zawsze wtedy gdy jakieś bydłátko nadawało się do sprzedania, albo za miesiąc miała ociełić się krowa i może obdarzy gospodarza byczkiem.

– Panie gospodarz, będziemy robić handel. Josek zjawi się na czas! – zapowiadał swe przybycie. I zjawiał się dokładnie o czasie, prawie co do godziny. Cielę płci męskiej nie nadawało się do hodowli, nikt nie zostawiał byczka dłużej niż dwa miesiące, kiedy nabrał już mięsa. Co innego jałówka, tę się hołubiło i dogadzało jej do dorosłości, zwłaszcza jeśli pochodziła od mlecznej matki.

Zawsze byłem obecny przy transakcji kupna-sprzedaży, trzymając zwierzę na łańcuchu lub postronku. Josek zaglądał do pyska, jeśli to była dorosła krowa, macał po grzbiecie oceniając mięsność. Zwierzę stało zwykle spokojnie, zrezygnowane i jakby pogodzone ze swym losem, a moje trzymanie na łańcuchu było zwykłą asystą. Jedynym celem tej asysty było „kopytkowe”, uświęcona tradycją opłata za wyprowadzenie zwierzęcia za bramę, przejęta

zapewne ze starych przepisów o przepędzaniu bydła przez roгатki miasta. Mało mnie interesowała cena za jaką poszło cielę lub krowa, ważne było kopytkowe, mogło się nazywać łańcuchowe lub postronkowe.

Ceremonia kupna-sprzedaży trwała długo. To Jasek wychodził za lasę (bramę w ogrodzeniu podwórza), to ojciec nakazywał zaprowadzenie bydła do obory. Uczestnicy transakcji wykazywali na przemian zdumienie: jak można żądać tak wysokiej ceny za takie ledwo żywe cielę (– to Jasek), lub zaproponować tak niską cenę za taki okaz bydła (– to ojciec). W końcu ojciec i Jasek potwierdzali ostateczną cenę zwierzęcia dwukrotnym przybiciem dłonią dłoni. Stąd pewnie pochodzi określenie – dobić targu. – Panie Jasek, dla mnie kopytkowe! – domagałem się tradycyjnego datku za trzymanie zwierzęcia. – Jaki ze mnie „Pan”? Pan gospodarz to jest „Pan”! A ja co? Biedny żydowski kupiec, dokładam do tego interesu – i spozierając spod oka oceniał czy mu uwierzono. Monety kopytkowych groszy wyliczał z wielkim namaszczeniem, układał je na maleńkiej dłoni, oceniając przy tym jakie wrażenie robi jego rozrzutność. Zwykle było to dwadzieścia, czasem pięćdziesiąt groszy, kwota nie mała. Koledzy nie dostawali nigdy tak dużego kopytkowego. Może dlatego, że za przykładem rodziców zwracali się do Joska, jak do każdego Żyda – przez „ty”. Bo Żyd był człowiekiem niższej kategorii, po prostu Żyd. Nie mogę powiedzieć, aby u nas w domu oceniało się lepiej Żydów jako nację. Byli inni, i trzeba było

się ich strzec, bo podobno byli i tacy Żydzi, którzy potrzebowali dziecięcej krwi na macę. Ale kupcy, co zawsze do nas przychodzili, to byli dobrze znani, nasi Żydzi.

Za Niemców Żydom nie wolno było handlować, ani chodzić po wsiach. Któregoś dnia zjawił się syn Joska – Chaimek. Chodził z Joskiem handlować jeszcze za Polski. Chaimek chciał kupić coś do jedzenia. Był ubrany jak parobek ze wsi i dla niepoznaki z widłami na ramieniu, że idzie z roboty. Ostrzyżony po tutejszemu, bez pejsów wystających spod czapki, jak wtedy, kiedy czasem towarzyszył ojcu. Dowiedzieliśmy się, że głodują, a Jasek ma na utrzymaniu pięcioro dzieci i starych rodziców. Jasek nie chciał wyjść z getta, bo trzeba było obciąć włosy i ubrać się po naszemu, i bał się zdjąć opaskę z gwiazdą. Chaimek musiał wystąpić przeciw nakazom religijnym i zmienić swój wygląd. Kupił mąkę i chyba olej lniany, mama dodała mu kilka jajek i ser. Poszedł miedziami do Żarnowca, na stylistyku wideł niósł tobołek z jedzeniem.

Jasek i Chaimek znikli ze wsi jak wszyscy Żydzi. A wkrótce i z życia też. Kilka miesięcy później Chaimek, Jasek i cała ich rodzina szli ostatnią drogą Żydów z Żarnowca. Któregoś przedpołudnia na drodze od Jelczy ukazała się grupa kilkudziesięciu ludzi. To Niemcy pędzili Żydów z Żarnowca. Widzieliśmy ich z daleka, mężczyźni, kobiety, dzieci. Wszyscy ubrani na czarno. Nieśli jakieś walizki i tobołki. Wiadomo dokąd ich pędzą. Pewnie na Stację, do pociągu,

pojadą do lagru. Minęli Stację. Jeszcze trzy kilometry życia. Wszystkich zastrzelili w Chodówkach.

Ten pochód potwierdził powszechną opinię o niepojętym tchórzostwie Żydów. Szli jak barany na rzeź. Mogli przecież rzucić się na tych kilku strażników. Może któryś by zginął, ale większość uszłaby z życiem.

I co dalej? Ludzie by pomogli? Ukryli gdzieś?

Akurat! Pełno tu żyje bohaterów, głupców nie dbających o własną skórę i bliskich. Choć podobno i tacy się zdarzali. Jedni za złoto, inni ... Lepiej o tym nie wiedzieć.

Wcześniejsze wspomnienia. Jeszcze na początku wojny różni przywozili duże płyty kamienne z wykutymi jakimiś rowkami, podobno żydowskimi napisami. Płyty były bardzo przydatne. Zwłaszcza w miejscach błotnistych. Na podwórzu pełno takich miejsc. Taki kamień można położyć przy studni. – „Bardzo przydaje się ta płyta, ładnie jest przy studni i nie robi się błoto. A rowki w płycie jakby zrobione przeciw ślizganiu” – chwalił zaradność swego ojca kolega. Inny chwalił się, że płyty dobrze się sprawują na brzegu gnojowiska.

Ojciec nie był taki zaradny jak inni i nie postarał się o choćby jedną kamienną płytę, chociaż pełno ich leżało w Miechowie i na Stacji. Zapytałem ojca, dlaczego my takich płyt nie mamy, choćby jednej przy studni. – „Głupiś!” – uzyskałem krótką odpowiedź.

Po jakimś czasie ojciec powrócił do tematu – „Takie płyty żydzi stawiają na grobach. My stawiamy na grobach krzyże, oni takie płyty. Grzech okradać zmarłych”. Potem zdarzało mi się ciągnąć wiadro wody ze studni u sąsiada, starałem się nie nadepnąć na tę praktyczną ozdobę studni. A i wody wolałem u nich nie pić.

Może te macewy nadal tam leżą. Rowki napisów dawno się starły. Studnia już niepotrzebna. Jest wodociąg.

Ostatnie obrazy Żydów w mojej pamięci z czasów okupacji to dwoje dziwnych ludzi na szosie. Wracam ze szkoły ścieżką po grobli nad strumykiem płynącym przez łąki. Po prawej stronie, na odległość pokrzykiwania: „hej, hej, hej!”, idą szosą koledzy z klasy. Rozstaliśmy się przed chwilą. I odtwarzają mi się obrazy jak na stop-klatce filmu. Koledzy rozmawiają z jakimś mężczyzną i kobietą. Po chwili obcy idą dalej szosą. Nowy obraz: obcy skręcają koło krzyża w prawo, na Jelczę i Żarnowiec. I znów stop-klatka: dwóch na rowerach jedzie szosą od Stacji, są w mundurach, na plecach karabiny. Niemcy? Patrzą za nimi, bo rowery zawsze budzą zainteresowanie chłopców. Nowy obraz – mundurowi zakręcili też na prawo. Dopędzili dwoje dziwnych ludzi tuż przed mostem, koło którego dopiero co szedłem. Teraz gapię się, bo dzieje się coś niezwykłego. Mężczyzna i kobieta unoszą ręce do góry. Mundurowi pochylają się nad mężczyzną, jakby zaglądali mu do rozporka. – „To pewnie żydzi” – przemknęła

mi myśl. Żyda poznaje się po czymś w rozporoku, ale nie wiadomo po czym. Mundurowi coś pokrzykują i wymachują karabinami i chyba popychają kolbami. Spędzają obcych na groblę po drugiej stronie strumyka od naszej ścieżki. Obcy rozbierają się. Długo układają ubrania obok siebie na grobli, pewnie złożyli je w kostkę. W białej bieliźnie z wyciągniętymi w górę rękami stają przodem do mnie. Dłonie kobiety i mężczyzny splotły się w górze, tak mi się wydaje. Nie widzę ich twarzy, za daleko. Osuwają się nagle na ziemię, jakby przyklękali. Wtedy dwa prawie równoczesne trzaśnięcia jak przy łamaniu suchych patyków. To strzały. W tył głowy. Po chwili jeszcze jeden strzał, dobili kobietę. Uciekłem do domu.

Zabitych zakopano na miejscu koło mostu. Bez żadnego kopczyka, że tu jest jakiś grób.

Na Wszystkich Świętych zapalaliśmy świeczkę. Bo ksiądz powiedział, że palenie świeczki na grobie żydów nie jest grzechem. Nikt nie wiedział wtedy, że na mogiłach żydów zamiast zapalonej świecy kładzie się polny kamyk.

